Dodatek do Nr. 16 „Prawdy".

RODZINA
PISMO
POŚWIĘCONE WYCHOWANIU
I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 8. Sobota, dnia 18-go Kwietnia. Rok 1908

A. GENNEVRAYE.

ULICZNIK.

POWIEŚĆ Z FRANCUSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

VII.
Przyjaciele.

Upłynęło kilka miesięcy. Gaveau nie słyszał skarg więcej na swego wychowańca; przeciwnie, służba i domownicy coraz częściej odzywali się o nim życzliwie, a sam generał widocznie polubił małego grooma.

Trudno też było poznać dzisiaj w Izydorze wątłe i mizerne dziecko, które sierżant w powozie przywiózł ze szpitala, lub obdartego ulicznika, sprzedającego niegdyś zapałki. W czystem ubraniu, zgrabny, roztropny i żywy, sprawiał na pierwszy rzut oka bardzo przyjemne wrażenie, a jego smutne niegdyś oczy patrzały teraz poważnie i śmiało. Wyrósł przytem, zmężniał i rozwinął się pod każdym względem, tak, iż dziwić się niepodobna, że sierżant Gaveau czuł się dumnym z niego i coraz bardziej przywiązanym do chłopca.

W szkole Izydor także zyskał wkrótce sympatyę profesorów i kolegów, a z jednym nawet Adasiem Lanson, zaprzyjaźnił się serdecznie.

Adaś był synem weterana, mieszkającego w Domu Inwalidów, a matka jego utrzymywała sklepik i razem z nim i młodszą od niego córeczką zajmowała parę pokoików.

Chłopcy w krótkim czasie zapragnęli widywać się i po za szkołą, a Izydor zaczął korzystać z każdej chwilki wolnego czasu, gdy generał wyszedł z wizytą albo na dłuższą przechadzkę, i wymykał się do Lansonów.

Tam też najczęściej przepędzał wieczory, a choć Gaveau rad był szczerze z tego towarzystwa i przyjaźni swego wychowańca, przecież nieraz wzdychał smutnie na myśl, że został zupełnie zapomnianym.

W istocie, chłopiec bardzo rzadko teraz przebywał z nim dłużej: służba, szkoła, koledzy, zapełniali mu dzień cały; zaledwie przy spotkaniu zamieniali kilka wyrazów.

— Hm... — mruczał sierżant — nie może być inaczej; młody zawsze ciągnie do młodego... A zresztą rzecz wiadoma: dzieci to niewdzięczniki. Albo to kiedy o czem myśli? Ot i ten. Mógłbym dla niego teraz nie istnieć na świecie, a kiedy był sam w szpitalu....

I nie kończył, przypomniawszy sobie, jak powinien być szczęśliwy, że los biednego sieroty przestał go wreszcie niepokoić.

Nadeszła wiosna: dni pogodne, ciepłe promienie słońca, zieloność i kwiaty. Gaveau więcej godzin teraz spędzał na Esplanadzie i więcej miał sposobności do gorzkich rozmyślań.

Smutno mu tu było samemu. Wszystko śmiało się dokoła: ludzkie twarze i kwitnące drzewa, niebo i ziemia, nawet ptaki, wesoło ścielące gniazdka wśród gałęzi, — on tylko jeden siedział zasępiony, on nikogo nie miał na świecie, nikogo, komu byłby potrzebny, ktoby dbał trochę o niego!

Nagle szybkie kroki dały się słyszeć za ławką, a w chwilę potem zdyszany Izydor zatrzymał się przed nim, z trudnością chwytając oddech.

— Od pół godziny szukam pana! — zawołał. — To przecież nie nasza ławka! Pani Lanson mię przysyła. Prosi, żeby pan przyszedł skosztować limonady, którą sama zrobiła. Pan Lanson jest tam także.

Oczy śmiały się chłopcu i twarz miał rozradowaną, lecz sierżant na to nie zwrócił uwagi. Nie odpowiedział mu nawet, nie miał chęci przyjąć zaproszenia. Po co? Żeby patrzeć na szczęście innych i czuć bardziej jeszcze własne osamotnienie?

Izydor tymczasem niecierpliwił się widocznie.

— Chodźmy — rzekł nareszcie, biorąc wiarusa za rękę. — Czekają na nas.

Gaveau nie ruszył się z miejsca.

— Chodźże pan! — wybuchnął chłopiec prawie z płaczem. — Nie chcę, żebyś sam tutaj siedział! Czy nie wiesz, że się bawić nie mogę, kiedy myślę, że jesteś smutny?

Nie ciągnął teraz sierżanta, lecz spojrzał mu w oczy tym wzrokiem, któremu starzec nigdy się oprzeć nie umiał.

Weteran zadrżał. Czyżby się tak omylił, posądzając chłopca o brak serca? Wstał, nie wiedząc, co czyni, i szedł za Izydorem, jak jeniec wzięty do niewoli.

Wkrótce stanęli na progu czystej i schludnej izdebki. Stół świeżo nakryty świadczył, że oczekiwano gościa; na oknie stały kwitnące kwiaty w doniczkach.

Oboje małżonkowie powstali na powitanie gościa, a Lanson, dzielny wojak, ale prosty niegdyś szeregowiec, skwapliwie podał krzesło byłemu swemu sierżantowi.

Limoniada zjawiła się niebawem. Starzy obsiedli stół wokoło, dzieci skupiły się w kąciku, gdzie Adaś najgłośniej perorował, a Mela słuchała, siedząc na małym stołeczku i usypiając na kolanach lalkę.

Starsi rozprawiali o dzieciach. Lansonowa chwaliła Izydora, nie wiedząc nawet, jak bardzo ujmuje serce sierżanta.

— A co z nim myślicie robić? — zagadnął Lanson po chwili, napełniając powtórnie szklanki.

— Będzie żołnierzem. Musi tylko przedtem nauczyć się jeszcze karności.

— Nauczycie go, panie sierżancie. W dobrej pomieściliście go szkole. Wiem ja z doświadczenia, jak się karność w dzieciach wyrabia; mój Adaś naprzykład, ten rozumie już każde skinienie!

— To co innego; jesteście jego ojcem.

— A wy? Wy więcej niż ojcem jesteście dla Izydora. Nie mając żadnych obowiązków, opiekujecie się nim jak rodzonym synem.

— E! nic tak znowu wielkiego — bronił się Gaveau, zakłopotany trochę — kilka su oszczędności na fajce... Dziwne to jednak — dodał po chwili milczenia — jak się człowiek łatwo przywiązuje. Kiedy był chory, spać nie mogłem, tak mi wciąż stała w oczach jego blada, mizerna twarzyczka. Ledwo się zbudziłem rano, już mi zaraz przychodziło na myśl: Jak też ten biedak noc przepędził?

Od niejakiego czasu w pokoju panowała cisza. Gaveau obejrzał się na dzieci, które siedziały w kąciku, z szeroko otwartemi oczyma, przysłuchując się rozmowie. Izydor zwłaszcza miał wyraz twarzy poważny. Nagle podniósł się, przybliżył do starca, zarzucił mu ręce na szyję i położył głowę na ramieniu.

— Co ci jest? — spytał sierżant prawie przestraszony wzruszeniem, jakiego doznał z powodu tej niespodziewanej pieszczoty.

— A bo pan powiedział, że nie jest moim ojcem. To prawda, ale dlaczego to pana smuci?

Stary wojak chrząknął kilkakrotnie.

— Widzisz, — rzekł, — gdybyś był moim synem, wiedziałbym przynajmniej, że nie rozłączymy się nigdy, nawet kiedy **tam** przyjdzie stanąć do apelu.

I podniósł rękę ku górze.

Malec przytulił się mocniej do niego.

— Nie mów pan tak, — rzekł smutnie, — jeśli chcesz być moim ojcem, jak pan Lanson Adasia, to ja będę chętnie twoim synem... posłusznym i szczęśliwym!

Sierżant odwrócił głowę i wydobywszy z kieszeni wielką, kraciastą chustkę, utarł nos tak hałaśliwie, że Izydor aż podskoczył, a dziatwa wybuchnęła głośnym śmiechem. Stary żołnierz, korzystając z chwilowego zamieszania, szybko otarł łzy duże, świecące mu na siwych rzęsach.

Od tego czasu Gaveau stał się znacznie weselszym, u Lansonów bywał często, a przyjaźń Izydora z ich dziećmi nie budziła w nim już zazdrości.

Chłopiec chętnie teraz uczęszczał do szkoły i był jednym z najlepszych uczniów, stał się też wkrótce udubieńcem profesorów, a generał miał do niego wyraźną słabość.

— Tęgi chłopak — mawiał nieraz, klepiąc po ramieniu starego wiarusa. — Udał ci się wychowaniec.

Wspomnenia bulwarów i Sekwany zacierały się w umyśle chłopca; nie doświadczał już tego uczucia zamknięcia i niewoli, które w początkach pobytu w Domu Inwalidów zatruwały mu życie. Poznał tu wszystkich i wszystko: ludzi i rzeczy, i niepostrzeżenie przywiązywał się do nich z dniem każdym. Zdrowe pożywienie, praca i ćwiczenia rozwinęły jego siły fizyczne, a proste, tchnące prawdą, nauki sierżanta, wyrabiały w dziecku charakter i poczucie obowiązku.

Z przeszłości pozostało mu tylko wielkie współczucie dla ubogich i nieszczęśliwych. Nie minął starca i kaleki, żeby go czem nie obdarzyć, nie przeszedł obojętnie koło ubogiego dziecka. Jeżeli miał grosz jaki, oddawał go chętnie uboższym, rad, że chociaż w ten sposób może ulżyć niedoli.

Razu jednego, powracając od Lansonów, spostrzegł gromadkę uliczników, naradzających się nad czemś krzykliwie.

Zbliżył się zaciekawiony i zobaczył małego pieska, unurżanego w błocie, ze związanemi tylnemi łapami, trzymanego na sznurku przez słusznego wyrostka, nieprzyjemnej powierzchowności.

— Do wody! do wody! utopić! — wrzeszczały dzieciaki.

— Utopić? — zapytał Izydor. — Dlaczego? Czy wściekły?

— Nie, ale zgubił pana. Złapaliśmy go nareszcie... Trzeba najpierw kamień przywiązać do szyi...

— Nie utopicie go! — krzyknął Izydor.

— A jakże!

— A ja wam mówię, że nie!

— Doprawdy? Zabronisz nam?

— Zabronię!

I nie czekając odpowiedzi, zręcznem uderzeniem w nogę przewrócił chłopca, trzymającego sznurek i psa pochwycił na ręce.

Był to początek walki.

Rozgniewany tą napaścią, chłopak zerwał się szybko i rzucił na Izydora. Lecz ten miał się na baczności. Niższy i słabszy od przeciwnika, przewyższał go jednak zręcznością, a przytem niedarmo uczył się przecież gimnastyki. Trzymając psa, nie mógł bronić się rękoma, ale nogami dzielnie odpierał ataki, trzymając napastnika w pewnem oddaleniu i cofając się ku Esplanadzie.

Tłum uliczników nie mieszał się do walki i krzykiem tylko zagrzewał do niej towarzysza. Trwało to kilka minut. Wreszcie rozwścieczony długim oporem, chłopak skoczył gwałtownie naprzód, by pochwycić wpół Izydora i rzucić go o ziemię; lecz ten zrozumiał, o co chodzi, wysunął naprzód prawą nogę i tak silnie ugodził nią przeciwnika, że ulicznik

runął na ziemię jak długi i leżał nawpół omdlały, nie mogąc podnieść się o własnej sile.

— Brawo, chłopcze! Zuch jesteś! To mi się podoba! — dał się słyszeć głos dobrze znany za plecami Izydora. — A ty, niegodziwy okrutniku, powinieneś się wstydzić dręczyć bezbronne i słabe zwierzęta. Wiedz zresztą, że jeśli sumienie nie zabrania ci tego, to może spotkać cię kiedy surowsza od tej nauka.

I sierżant, który był świadkiem całego niemal zdarzenia, opiekuńczo położył rękę na ramieniu swego wychowańca.

Niema istot wrażliwszych niż dzieci. Odwaga i zręczność Izydora, oraz słowa starego wiarusa, zelektryzowały nieletnią publiczność i zjednały ją zupełnie dla małego zwycięzcy. Pies stał się także przedmiotem ogólnej litości: otoczono go, rozwiązano sznurek, pieszczono i głaskano z takim samym zapałem, z jakim przed chwilą chciano go wrzucić do wody. Lecz zwierzę z niedowierzaniem odwracało się od tych przyjaciół, kryjąc głowę na piersiach wybawcy.

— Co z nim zrobisz? — rzekł sierżant, kiedy się oddalił. — W kuchni nie pozwolą ci go trzymać. Najlepiej zostaw go gdzie pode drzwiami.

Ale pies, jakby zrozumiał te słowa, odwrócił się przestraszony i zaczął lizać Izydora po twarzy.

— Ach, panie sierżancie! patrzaj! — zawołało dziecko. — Biedna psina zdaje się prosić, abym jej nie opuszczał. Czyż mogę być tak nielitościwym? Ciążyłoby mi to na sumieniu, jak zły postępek.

— Ale jeśli go trzymać nie możesz...

— Niech go pan weźmie.

— To niepodobna.

— Dlaczego? Mną pan się przecież zaopiekował, a on jest takim samym biedakiem... Patrz, sierżancie, jakie smutne ma oczy!

— U inwalidów psa trzymać niewolno. Gdyby każdy z pensyonarzy mógł sobie na to pozwolić, trzebaby wkrótce wydawać podwójne porcye.

— Ach! wiem, co zrobię! — zawołał nagle Izydor. — Zaniosę go do Meli. U Lansonów dobrze mu będzie.

I wyprzedziwszy sierżanta, pobiegł szybko.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ochraniajmy ptaszyny!

Jakże posępnie wygląda las w jesieni! Nie słyszymy tam ani wesołego śpiewu ptaków, ani ich troskliwego szczebiotania koło gniazda; drzewa pochylone, krzaki i trawy pożółkłe, jakoby zamarły; czasem tylko sójka wrzaśnie, zrywając żołędzie na dębie; zaświergocze sikorka, szukając robaczka pod korą sosny, lub przeraźliwie zakrzyczy kwiczoł, zbierając jarzębinowe jagody, a tam daleko silnym dziobem puka dzięcioł w spróchniałym drzewie. Oto jest cały śpiew i cała muzyka w jesiennym lesie! Samemu człowiekowi jest smutno i tęskno w takim lesie.

A teraz wejdźmy do tegoż lasu na wiosnę.

O! z pewnością spotka nas tam zupełnie inny śpiew i inna muzyka ptasia!

Tu, zda się nam każde drzewko, każdy krzaczek wydaje swój śpiew radosny, swój dźwięk wesoły. Jakże nam niewymownie przyjemnie i miłe spędzić chwilkę czasu wolnego, słuchając dziwne śpiewy ptactwa. Wszystko dokoła nas jakby śpiewa, gra, cieszy się i weseli wiosną i życiem. Każdy głos brzmi dźwięczniej i weselej, niż w jesieni; nawet jednostajne pukanie dzięcioła rozlega się radośniej po lesie.

Ale przysłuchajmy się uważniej śpiewu ptactwa: oto czarny kos, siedząc w gęstwinie lub na wierzchołku drzewa, wyśpiewuje tak ładnie, iż zda się nam, że to śpiewa człowiek jakiś, ukryty w krzakach; żółta wilga, usiadłszy na gałązce, wygwizduje, niby drażniąc swawolnego chłopaka; szaro-żółtawy czyżyk ciągnie swoją piosenkę z takim wysiłkiem, jakby dźwigał na swych barkach nie wiem jak wielki ciężar; szara kukułka, zwana także zazula, wylicza pannom lata zamążpójścia, siedzi sobie na gałęzi i szydzi z ptaszyny, której podłożyła w gniazdo swe jajko; biała pliszka bije pociesznie ogonkiem resztki śniegu, wesoło krzycząc „cik-cilik"; dudek czubaty uwija się za owadami, ponuro dudając; zwinna jaskółka, uganiając się za muszkami, a zobaczywszy jastrzębia, powtarza „cisip", ostrzegając tem mniej zgrabne ptactwo od drapieżnika, lub usiadłszy na suchej gałęzi lipowej, wywodzi całą piosenkę; tam daleko na wysokiej sośnie grucha gołąb; wołając na swoją nadobną do nowego gniazda; tu znowu na starej bronie umieszczonej na topoli nad naszą chatą głośno klekocze długonogi bocian, nasz dawny sąsiad; na samej zaś chacie czarny szpak ślicznie wydziwia, dziękując Stwórcy za robaczki, których nazbierał sobie na łące; tam hen wysoko niby czarna muszka trzepocze skrzydełkami w powietrzu dźwięczny skowronek, którego lud nasz nazwał śpiewakiem Najświętszej Panny — on pociesza rolnika w mozolnej pracy i obieca mu obfity plon po jego ciężkich trudach; to też rolnik zachowuje najmilsze wspomnienie dla skowronka; tu schowawszy się w gęstym bzie lub jaśminie, wyśpiewuje na wszelkie sposoby szary słowik, największy śpiewak między naszemi ptaszkami. Oto jest śpiew królestwa ptasiego, oto jest muzyka wiosny!

Komuż nie jest miło wyjść w pole lub do lasu i posłuchać, jak każda ptaszyna swym głosem, przez Stwórcę jej danym, wdzięcznie śpiewa, dziękując Bogu za wiosnę, która już nadchodzi, a która rozwesela całą naturę.

Jakże znowu smutno byłoby, gdybyśmy nie usłyszeli tego śpiewu ani na polu, ani w lesie: las drzemałby posępnie, a na polu wiatr tylkoby hulał.

Oprócz ładnego śpiewu, wiele ptaków przynosi nam ogromną korzyść. A więc obowiązkiem rozumnego rolnika i porządnego gospodarza jest szanować i oszczędzać ptaki pożyteczne i nauczać małe dzieci to samo czynić, szkodliwe zaś ptaki wszelkiemi sposobami tępić.

Starsi powinni nie tylko zapobiegać, ale stanowczo zakazać dzieciom: bić jaja ptasie i zabierać pisklęta; zwykle bowiem niedobre i rozpustne dzieciaki, zebrawszy się do gromady, chodzą po polach, łąkach i lasach wyszukują gniazda, niszczą je, zabierają lub biją jaja i rozrzucają pisklęta, nie zważając na żałosne i płaczliwe jęki ptaszyny-matki. Niedarmo chiński mędrzec pogański Konfucyusz, jeszcze przed paru tysiącami lat nauczał: „Ten popełni śmiertelny grzech, kto zabije matkę jakiegokolwiek stworzenia, karmiącą dzieci lub brzemienną". Lecz my na to

nie zważamy, u nas starsi i młodsi tępią wszystko żyjące wszelkiemi sposobami.

Na wiosnę, gdy się wszystko gnieździ i płodzi, gospodarze lub gospodynie, idąc na pole, prowadzą za sobą psy, które biegają po zbożu, wyszukują gniazda, wypijają jaja ptasie, zjadają ptaszęta i małe zajączki.

My jakby umyślnie staramy się zaciekle wszystko dokoła siebie wytępić i zniszczyć. I nic dziwnego, że u nas liczba zwierząt i ptaków stopniowo się zmniejsza;; a może nawet dojdzie do tego, że ptaki, jak wróble, jaskółki, pliszka, skowronek, sikorka, będą u nas rzadkością; a wtedy robaki nam zjedzą liście na drzewach, zboże na polach i warzywa w ogrodach.

Z „Przyjaciela Ludu".

PRAKTYCZNE RADY.

Uwagi o pieczeniu ciast.

Główným warunkiem udania się ciast drożdżowych są same młodzie, potem suchość mąki, następnie długie ubijanie ciasta, przez co ciasto zyskuje na pulchności, a w końcu ważną jest rzeczą zastosowanie pieca. Chcąc aby ciasta prędzej podrosły, trzeba zrobić tak zwaną podmłodę; to jest do odmierzonych wedle potrzeby młodzi wlać mleka, wsypać cokolwiek mąki i cukru, rozrobić dobrze, dać podrość, lecz nie wysilić się zbytecznie, tylko tak wyrachować, żeby zaledwie zaczęły się ruszać, gdy je do rozczynu wlać potrzeba. Piec wypalić na baby, niezmiernie mocno, lepiej go potem przez wymiatanie trochę przestudzić, gdyż raz dobrze napalony, dłużej jednostajny stopień ciepła zatrzymuje, co jest konieczne do ciast drożdżowych, które jeszcze w piecu rosnąć i prędko upiec się powinny. Po wypaleniu i wymieceniu pieca, próbować go w ten sposób: wrzucić garść mąki, jeżeli trzaska i pali się, to za gorący, jeżeli zaś mąka prędko się zrumieni, to dobry. Baby pieką się zwykle godzinę. W piecu palić sosnowym, długim, drobno rąbanym drzewem; po wypaleniu nie trzeba węgli zaraz wymiatać, tylko zostawić, aby się tło dobrze wygrzało. Jeżeli młodzie są dobre, to całe pieczywo bab z zarabianiem nie powinno trwać dłużej nad 8 godzin, lecz dzień poprzednio powinno być wszystko przygotowane; jeżeli młodzie nie dość mocne, to czasem i do 12 godzin się przewlecze. Temperatura, gdzie baby rosną, powinna być 20—25 stopni. Mąka powinna być dzień poprzednio przesuszona, przesiana i wygrzana. Jaja powinny być starannie oddzielone od żółtek, a żółtka od zarodków, gdyż te ciasto obciążają; lekkość i pulchność ciasta zależy też od dobrego ubijania ciasta. Ciasto na baby powinno być po domięszaniu każdej przyprawy ubijane przez pół godziny. Masło do każdego ciasta wlać dopiero po zupełnem wyrobieniu ciasta i jeszcze raz z masłem dobrze je ubijać. Chcąc się przekonać, czy ciasto na baby jest dostatecznie gęste, trzeba wziąść ciasta w rękę, ścisnąć je dobrze i jeżeli gałeczka z ciasta, która się nad ręką utworzy nie opadnie tylko stanie, wtenczas dobre. Jeżeli zaś opadnie to za rzadkie, trzeba dodać mąki. Przy wsadzaniu do pieca, szczególniej delikatnych babek, trzeba wystrzegać wstrząśnienia, aby nie opadały i wstawić zaraz w miejsce, w którem upiec się powinny; przy wyjmowaniu tę samą zachować ostrożność. Lekkich bab nie trzeba wyjmować z formy ciepłych, tylko położyć do ostudzenia z formą na bok na miękką poduszkę i obracać formę od czasu do czasu, żeby z wszystkich stron zastygła. Jeżeli piana wchodzi do ciasta, wkładać ją, przesypując mąką i delikatnie z góry na dół wymieszać; włożyć natychmiast masę do formy i wstawić do pieca. Migdały sparzone i wyłuszczone trzeba osuszyć i tłukąc je skrapiać wodą lub białkiem, aby oleju nie puszczały. Chcąc masło do ciast sklarować, trzeba je w rądlu wolno roztapiać, a skoro się szum wybije na wierzch, odstawić, żeby się ustało; zwierzchu zebrać szum łyżką i zlać ostrożnie zostawiając osad w rądlu.

Łamigłówka obrazkowa.



Rozwiązanie łamigłówki obrazkowej

z nr. 6 „Rodziny":

„Niedaleko pada jabłko od jabłoni"

nadesłali: Józef Motaj z Godulahuty, Józef Szudy z Frydenshuty, Wojciech Bieniek z Poremby, Walenty Kała z Bytomia, Walenty Grabowski z Frydku, Paweł Paruzel z Zabrza, August Donder z Frydenshuty, Franciszek Skorka z Miechowic, Augustyn Cwołek z Lipin, Józef Krupka z Warszowic, Franciszek Urbasik z Rudy, A. Skrzewuski z Dobrodzienia, Antonina Werner z Lipin, Paweł Kopiec z Miedzny, Józef Gierlotka z Piotrowic, Jakób Gawlik z Chropaczowa, Edward Twaręga z Bytomia, Marya Lesińska z Dolnej Ligoty, Matylda Wicik z Niem. Piekar, Tomasz Słuszka z Janowa, Jakób Żmija z Górnych Łazisk, Jadwiga Żogała z Piotrowic, Walenty Szkoda z Zabrza, Giertruda Gładysz z Zabrza, Andrzej i Katarzyna Kottas z Wielkiej Wisły.

Nakładem redakcyi „Prawdy", Kraków. — Czcionkami „Katolika", spółki wyd. z ogr. odp., Bytom.